

— Do prefektury policyi.
 — Do pałacu łapaczy, doskonale!
 I wesola kumoszka pociągnęła za cugle, wołając na konia:
 — Wio, kokotka!
 Jechały szybko, wkrótce też zatrzymały się przed obszernym portalem.
 — Proszę poczekać.
 — Do usług.
 Joanna weszła do środka i zapytała portyera.
 — Czy pan prefekt jest?
 — Audjencye już skończone.
 — Mam tylko do wręczenia bardzo pilny list.
 — W takim razie w biurze pana Magu.
 — Lecz list ten dotyczy osobiście prefekta.
 Portyer rzucił na nią baczne okiem i widząc, że jest porządnie ubrana, o dystygowanej twarzy, wskazał jej drogę.
 Ponad biurami, gdzie prefekt przyjmował, znajdowały się jego apartamenty prywatne. Popatrzyła na zegarek: pół do ósmej. Prefekt winien być u siebie. Zadzwoń!

Po chwili służący we fraku otworzył drzwi:
 — Pan Salvande?
 — Pan prefekt nie przyjmuje tutaj; to jest prywatne mieszkanie.
 — Mam bardzo pilny list do oddania.

— Od kogo?
 — Mogę to powiedzieć tylko panu prefektowi.

Służący odparł stanowczo.
 — Powiedziałem już, że pan prefekt nie przyjmuje. Proszę udać się o piętro niżej.

Pani Dandre chwyciła się wtedy sposobu, który nie powiódł się. Wyjęła z woreczka paperek pięćdziesięciofrankowy i podała go lokajowi.

Ten nie przyjął go, zaczerwienił się i głosem oburzonem odparł:

— Pani myli się! Ja nie jestem do przyjmowania pieniędzy! Słucham tylko rozkazu.

— Ależ — prosiła Joanna ze łzami w oczach — przecież ja nie chcę zrobić nic złego. Mnie bardzo zależy, by pan prefekt zaraz otrzymał ten list. Chodzi o zbawienie jednej osoby. Proszę bardzo.

Służący uległ prośbie.
 Proszę ten list. Oddam go panu prefektowi, choć mi to zabroniono... Nie, pieniądze proszę wziąć z powrotem, albo listu nie przyjmę.

Wobec tej groźby Joanna schowała pieniądze, oczekując w przedpokoju.

Po chwili wrócił służący z zadowoloną miną.

— Pan prefekt ma już list, czyta go.

— Nic nie powiedział, o nic się nie pytał?

— Nie.

Nie mogąc mu inaczej podziękować, Joanna ukłoniła się jak najwdzięczniejsz i uśmiechnęła radośnie.

Swobodna schodziła po schodach.

O dwa pietra za nią również ktoś szedł bez szmeru. Był to p. Magu, szef biura, któremu prefekt najbardziej ufał. Był on u p. Salvande, gdy lokaj przyniósł list. Po przeczytaniu zapytał prefekt:

— Czy posłaniec jeszcze jest?

— To jakaś dama, oczekuje w przedpokoju.

— Dobrze.

Potem zwrócił się do p. Magu:

— Każ pan śledzić tę damę — i pokazał mu otrzymany list.

— Byłoby to dziwne, gdyby chodziło o zamianę dziecka, o czem mówiłem już panu prefektowi — odezwał się Magu.

— Jaka zamiana?

— Córkę pana Mitre, szefa biura...

— Aha, przypominam sobie. Dobrze, niech pan każe śledzić tę damę.

— Przepraszam, że się pytam, a czy pan prefekt pójdzie na to rendez-vous.

— Jeszcze nie wiem, dlaczego?

— By strzedz pana prefekta. Pałac d'Eylan obstawiliby ludźmi. Kto wie, czy to nie jaki podstęp, w tych czasach anarchii...

Prefekt podziękował podaniem ręki i rzekł:

— Spiesz się pan, bo ta dama ucieknie.

W istocie ledwie p. Magu zdążył ujrzeć, jak

Joanna wsiadała do doróżki. Dał znak jednemu z tajnych agentów, wskazując na odjeżdżającą.

Tamten wskoczył na rower stojący pod murem i w odległości kilku metrów pomknął za doróżką.

Joanna, która niczego nie domyślała się, spostrzegła, iż doróżkarka co chwila ogląda się za siebie. Wreszcie odezwała się:

— Wpadła pani w oko łapaczowi?

— Dlaczego?

— Jeden nas śledzi. Czy pani zależy na jego towarzystwie?

— Ależ nie! — zawołała pani Dandre przerażona.

— Dobrze, kokotka go zwiedzie.

I doróżka pomknęła szybciej, wymijając zręcznie pojazdy, skręcając nagle na rogach ulic. Doróżkarka popędzała ciągle konia, mrużąc:

— Wio, wio, kobyłko! Zgubimy go, choć ten wyżeł jest solidny, ten garb stalowy!... Nie chce nas opuścić.

Potem zwracając się do Joanny, dodała urywanymi słowami:



Pan prefekt nie przyjmuje tutaj, to jest prywatne mieszkanie.

— Nie lubię tych łapaczy... rozwodzę się teraz ze swoim... Pani wie, nie wiele jest doróżkarek... łatwo znać wszystkie... tamten pewnie mnie zna: Irma Bouchemol, do usług... to moje panięskie... jeżeli pani nie chce się z tamtym poznać, przygotować pieniądze... zatrzymam przed hotelem o dwóch przejściach... wejdzie pani prosto i zniknie przez drugie, zanim on okrzyknie... o ile wie...

— Staję, prędko!

Joanna szybko wsunęła pieniądze w wyciągniętą rękę, wyskoczyła i znikła w bramie.

W sam czas! agent nadjechał.

Zaczął od zapisania numeru doróżki.

— Nie potrzeba ženować się — odezwała się doróżkarka. — Może pan chce i nazwisko? I szczegółowy opis? W pewnym miejscu mam brodawkę, a na małym palcu u lewej nogi nagiętek.

— Niepotrzebne, pani Trachet, ja panią znam.

— Hi! i ja pana poznaję; pańska czapka przeszkadzała mi rozpoznać odrazu... Dzień dobry, panie Bop! Nie mam racji dąsać się na to, że pan jest przyjacielem nieboszczyka Trachet.

— Jakto nieboszczyka Trachet? Pani mąż żyje i ma się bardzo dobrze, przed chwilą trącił się.

— Niech wam służy! ale i ja przyjąłabym szkolenie.

— Niemożliwe na służbie, pani Trachet.

— Czy bardzo panu nie na rękę nazywać mnie pani Bouchemol? Jestem znowu panną. Nie nazywam się już Trachet, rozwód biorę.

— Ale jeszcze nie wzięty.

— Zawsze jest pewny, jak pewna i zdrowa moja kokotka: nie prawda?

— Ja na takie gadanie to...

— Wypinam plecy? co? tak pan myśli?

— O, wcale nie źle, doskonale! ale co to za pasażerka była?

— Piii! jedna wielka dama, niemiecka baronowa, von Choukrein.

— Pani ją zna.

— Doskonale! co za ręka! jakie napiwki z niej sypie!

Młasnęła przytem językiem.

Bop, zwiedziony jej pewnym tonem natował sobie w pamięci te szczegóły.

— Czy tutaj mieszka?

— Ona? nie. Jej kochanek, młody, mały blondyn.

— A ona gdzie mieszka?

— Avenue Victor Hugo. Łatwo trafić: obok jest rzeźnik. Niegodziwe to jednak.

— Co takiego?

— Gorsza, niż Małgorzata Burkundzka. Oszukuje blondyna z jednym posłem z lewicy; mówili mi, jak się nazywa: Juliusz... zaraz, Juliusz Ferry.

— Ależ on już dawno umarł.

— W takim razie oszukuje go z innym.

Bop nie był łatwowiernym do tego stopnia.

— A nie oszukuje mnie przypadkiem matka?

— Szkoda fatygi, panie Bop. Razem z nieboszczykiem Frachet stanowicie dobraną parę.

— Po co mi więc pani dmucha w nos taką błąd?

— Dlatego, że pan mię rozpytuje. Cóż to ja jestem od naganiaczy.

— Zabraniam...

— Ej? a czego? Na ulicy pusto.

A jeżeli pan nie kontent, to ja zejść na dół! Pan wie, prawda! potrafię i gołą ręką i kułakiem po angielsku.

— No, no! To przecież żarty. Pani ma swoje zajęcie, ja swoje...

Nic nie dowiem się o tej damie? Szkoda.

— Nigdy jej nie widziałam przedtem.

— To ja poczekam, pewnie wyjdzie?

— Doskonała myśl! Niech pan czeka... Ale niezbyt długo! Wio, kokotka!... Wio, córeczko!

Odjeżdżając dodała:

— Panie Bop... Niech pan siądzie na trotuarze, to nie zmęczy się pan!

— Prawda, dobrze radzi — powiedział sobie agent i siadł, oczekując.

XIII.

FALSZYWY MANEWR.

Joanna w obawie przed pogonią przebiegła szybko dziedziniec, drugą bramę i znalazła się na ulicy. Nikt na nią nie czatował. Odechnęła swobodniej, wsiadła natychmiast do doróżki i udała się do siebie. Ponieważ nie miała drobnych pieniędzy, a doróżkarz nie miał zmienić pięćdziesięciu franków, kazała mu zaczekać przed domem. Wiera siedziała przy stole w jadalnym pokoju, pokazując Ludwice jakąś robotę szydełkową. Zamieniona dziewczynka spała w wózku Jacka. Gdy Joanna weszła, eczy przyjaciółki i mamki zwróciły się na nią z niemem pytaniem. Obie z Wierą udały się do oddzielnego pokoju, gdzie Joanna szczegółowo opowiedziała wszystkie przygody.

— Już więcej nieroztropną być nie można — odezwała się Wiera — zbyt romantyczne jesteście obie. Co za sens był z chodzeniem do prefekta i naznaczanie mu rendez-vous? A ten twój powrót śledzony, z którego wymknęłaś się dzięki tylko niezwykłej doróżkarce. Nie! ani minuty dłużej nie można tu zostać.

— Ależ, Wiero, dokąd my mamy iść?

(Ciąg dalszy nastąpi).